

# MOJE POSZUKIWANIA MIEJSCA NA DALSZE ŻYCIE

*Eugeniusz Augustyński*

## Wspomnienia „małego Sybiraka”

Nim zacznę swoje wspomnienia o wieloletniej tułaczce i poszukiwaniu miejsca na dalsze życie, pragnę się przedstawić i powiedzieć jak doszło do tego, że mały chłopak z podtarnowskiej wsi przewędrował szmat świata.

Urodziłem się 28 04 1929 r. w Biskupicach Radłowskich z matki Karoliny i ojca Jana, jako czwarty syn wielodzietnej rodziny wiejskiej. Rodzina liczyła czterech synów i trzy córki. Rodzice posiadali małe gospodarstwo rolne, ojciec dorabiał jako cieśla przy budowie wiejskich domów drewnianych. Dramat rodziny rozegrał się w 1937 r. kiedy to po krótkiej chorobie na zapalenie otrzewnej umarła moja matka. Domem wraz z ojcem zajmowała się najstarsza siostra, która miała jedenaście lat, najmłodsza liczyła wówczas trzy. W tych ciężkich chwilach przychodziła nam z pomocą siostra matki - Zofia, żona legionisty zamieszkałego na Wołyniu. Małżeństwo cioci było bezdzietne, byli osadnikami na Wołyniu i posiadali ładne gospodarstwo. Ciocia zaproponowała ojcu zabranie do siebie dwójki dzieci, najmłodszej córki Marysi i mnie Eugeniusza - najmłodszego chłopca. Ojciec zgodził się na tę propozycję i tak oto pożegnałem rodzinne Biskupice. Odbylem wówczas pierwszą podróż koleją i to jak daleką, bo aż na Wołyń. Po długiej drodze wysiedliśmy na stacji kolejowej Karn-

czówka powiat Krzemieniec, gdzie oczekiwał nas mąż cioci. Dalszą drogę odbyliśmy furmanką zaprzęzoną w parę pięknych koni. Wreszcie dom cioci, duży okazały. W porównaniu z moim rodzinnym domem w Biskupicach to wspaniała pałac. Nakarmiono nas do syta, później moja siostra wzięła mnie za rękę i powiedziała: „chodź idziemy do domu” - długo musiałem jej tłumaczyć, że to jest nasz nowy dom. Miejscowość, w której zamieszkaliśmy nazywała się Szyły. Była to wioska ukraińska plus osadnicy polscy „Legionści”, których było dwanaście rodzin wraz z generałem Januszajtisem. Wszyscy mieli duże gospodarstwa np. ciocia z wujkiem mieli 12 ha ziemi i ładne budynki gospodarcze, a także ogród owocowy i pasiekę z ulami. Byłem zauroczony tym dobrobytem w stosunku do rodzinnego domu, miałem wówczas dziewięć lat.

I tak zaczął się nowy etap mojego życia, tutaj w Szyłach. Moi nowi rodzice zapisali mnie do szkoły powszechnej do trzeciej klasy. Do szkoły tej chodziły dzieci Ukraińców i osadników polskich wojskowych, do których i ja w tej sytuacji należałem. Na początku ciężko było w tej szkole, byłem obiektem napaści ze strony Ukraińców. Przeżywali mnie Mazurem, dopóki nie pozyskałem sobie polskich kolegów, przychodziłem często pobity. Później



*Marysia i Eugeniusz Augustyńscy.  
15 maj 1938 rok*

sytuacja się odwracała byłem też i zwycięzcą. Po szkole miałem dużo obowiązków w gospodarstwie. Najważniejszym z tych obowiązków było wypasanie bydła, a ciocia miała sześć krów plus cielęta, więc było czego pilnować. Na głowie miałem jeszcze siostrzyczkę, którą też trzeba było pilnować. W trzeciej klasie przystąpiłem do Pierwszej Komunii Świętej w kościele parafialnym w Kołodnie - było to jedenastego czerwca 1939 r. Siedemnastego września 1939 r. po wkroczeniu „Sowietów” na ten teren, Ukraińcy zaczęli prześladować polskich osadników - doszło do tego, że Polacy musieli opuścić ten teren. Nasza rodzina

schroniła się u znajomych 30 km od Szyl, a na gospodarce został służący cioci Ukrainiec Iwan. Przed świętami Bożego Narodzenia ów Iwan przyjechał po nas - mówiąc, że władze nakazały wszystkim powracać do swoich gospodarstw. Święta spędziliśmy w swoim domu. Spokój trwał jednak krótko, czwartego lutego przyjechało wojsko radzieckie nakazując opuszczenie wszystkich domów, gdyż mają tu być ćwiczenia wojskowe. Zabrać mieliśmy tylko podręczny bagaż jako że w krótkim czasie mieliśmy powrócić. W ten sposób zapędzono nas na stację kolejową. Tutaj czekał już na nas pociąg towarowy. Załadowali wszystkich do tego pociągu drzwi zabili deskami i konwojowali przez uzbrojonych żołnierzy. Pociąg ruszył w drogę. Wagony po bokach miały zbite prycze z desek, wycięta w podłodze dziura miała zastąpić sanitariaty. U góry było małe okienko i to zasłonięte deską by nie było widać gdzie jedziemy. W wagonie było około 60 osób, całe rodziny z małymi dziećmi. Po trzech dniach jazdy dopiero jak byliśmy już daleko od granicy z Polską otworzono pociąg i pozwolono nabrać gorącej wody tzw. kipiatok. Po czym z powrotem drzwi zabito, a pociąg ruszył w dalszą drogę. Tak jechaliśmy z małymi przerwami przez dwa tygodnie. Wreszcie otworzyli i kazali nam wysiadać. Była to stacja kolejowa w Moraszi w republice Komi ZSRR. Tu czekały na nas ciężarówki, które przewiozły nas na miejsce przeznaczenia tzn. do obozów w głębokich lasach.

## Życie w obozie pracy

Była siarczysta zima, mrozy i dużo śniegu. W lesie stały baraki zbudowane z kłoców surowego drzewa utkanych mchem. W środku wielka izba, pod ścianami prycze, a na środku stół z desek. Z boku palenisko ulepione z gliny, z blachą na której można postawić garnek do gotowania. W jednym takim pomieszczeniu było zakwaterowanych od 10 do 12 rodzin. I tak oto rozpoczęła się nasza gehenna życia na Syberii. Obóz podzielony był na kwartały. Ja z moją rodziną należałem do kwartału nr 72. Wszyscy dorośli musieli pracować przy wyrębie lasu. Za dzień pracy można było zarobić maksymalnie 2 ruble. Jeśli ktoś pracował mniej wydajnie zdaniem nadzorca otrzymywał mniej. Porównanie jest takie, że kilogram czarnego chleba zresztą na kartkę kosztował 1 rubel. Kto nie mógł pracować, nie otrzymywał kartki na żywność. Kartka opiewała na 1 kg chleba dziennie, 20 dag masła postnego tzw. oleju na miesiąc, porcję kaszy i 20 dag cukierków do słodzenia napojów, bo cukru wcale nie było. Niepracujący tzn. dzieci lub starcy dostawali znacznie mniejsze racje przydziałowe. Przykładowo 20 dag chleba dziennie, w myśl zasad *Kto nie robotajet ten nie kusajet*. Osobne kartki były na środki czystości, których też było mało. Najcięższa była pierwsza zima. Ludzie niewiele ze sobą przywieźli, a tu bardzo zimno i trudno coś zdobyć. Śmierć „kosila” ludzi, którzy nie byli przystosowani do takiego klimatu i tak ciężkich warunków życia. Wielu tego nie przeżywało. W kwartale 83 była szkoła po-

wszechna, do której miały obowiązek chodzić dzieci. Kwartał 83 był oddalony od naszego o 5 km. Nauka w szkole była oczywiście w języku rosyjskim. Nauczycielka powiedziała nam, że Polski już nie ma i nigdy nie będzie, a my będziemy należeć do Związku Radzieckiego i musimy się z tym pogodzić. Do tej szkoły chodziły dzieci tubylców Komi, rosyjskie no i my wygnańcy z Polski. Po szkole, szczególnie w lecie pomagałem gromadzić rodzinie zapasy z runa leśnego na zimę. W lasach było dużo jagód, malin, grzybów, tak że zbieraliśmy, suszyliśmy, marynowaliśmy i przygotowywaliśmy zapasy na zimę, aby uchronić się przed głodem. Wyjaśnić muszę, że teren na którym przyszło nam żyć był bagnisty i gdy przyszły wiosenne roztopy to nie było czym oddychać, a w lesie była plaga komarów. Ludzie palili ogniska i odganiaли owady gałęziami. Następna zima również była ostra. Mrozy 40 - stopniowe niemal codziennie. Dorośli dalej pracowali w lasach przygotowując drzewo do spławu rzeką. Tak, właśnie tu odbywał się transport drzewa. Tylko zimą jak był zamrożony ten teren bagnisty można było swobodnie się poruszać i ściągać drzewo po śniegu kołmi na brzeg rzeki Łuzzi. Na wiosnę gdy rzeka była wolna od lodu, drzewo składowane wzdłuż brzegu ludzie spychali do wody i całe bele płynęły do stacji kolejowej. Mężczyźni, którzy w zimie ścinali te drzewa teraz szli i bosakami popychali w razie spiętrzenia. Taka ekspedycja trwała nieraz do dwóch miesięcy. Wujek również wyruszał na takie spawy. Raz ciocia wysła-

ła mnie do niego, bym mu zaniósł jedzenie i przyniósł od niego pieniądze na życie. Dłużej się u niego zatrzymałem i zaczęło się już ściemniać, a ja miałem jeszcze daleką drogę do domu. Gdy szedłem przez las zobaczyłem z daleka parę błyszczących oczu. Myślałem, że to niedźwiedź i w panice uciekłem. Okazało się, że to była ciocia, która martwiąc się, że mnie tak długo nie ma wyszła mi na przeciw. W tym samym czasie w obozie wybuchła epidemia tyfusu. Nasza ciocia także zachorowała i została zabrana do szpitala w pobliskim miasteczku. Zostałem sam z Marysią, lecz po kilku dniach przyjechał komendant i zabrał nas do domu dziecka w Noszuli. Było to w kwietniu 1941 r. Raz pozwolono mi odwiedzić ciocię w szpitalu, ale jej stan był bardzo ciężki. Bóg jednak pozwolił jej przeżyć i wyszła ze szpitala. Rozpoczął się jednak następny dramat, gdyż nie chcieli nas oddać z domu dziecka. Tłumaczyli tę decyzję faktem iż nie jesteśmy jej dziećmi i inaczej się nazywamy. Mówili że nie ma w stosunku do nas żadnych praw. Przetargi trwały dość długo. Ciocia z wujkiem nosili się z zamiarem adopcji nas, ale wybuchła wojna i nie zdążyli załatwić tych spraw. Żadne tłumaczenia i błagania nie były w stanie wpłynąć na zmianę zdania dyrekcji. Dopiero moja wychowawczyni powiedziała mi żeby ciocia poszła do żony kierownika i dała jej to co ma najlepszego. Tak też ciocia zrobiła. Oddała złotą obrączkę i najlepszą sukienkę. Dzięki łapówce zostaliśmy uwolnieni i wróciliśmy do kwartału nr 72 do reszty wygnańców.

30 lipca 1941 r. wszedł w życie układ między Polską a ZSRR, na mocy którego Polacy na terenie ZSRR zostali objęci amnestią. Rząd wyraził zgodę na tworzenie Armii Polskiej tu u Sowieców. Wieść o tym rozeszła się szybko po obozach i trochę się zmieniło. Mieliśmy swobodę poruszania się po terenie. Wielu mężczyzn z obozu wybrało się do punktów tworzących Armię Polską. Starsi i dzieci pozostali jeszcze w obozie, ale wszyscy przygotowywali się do drogi i gromadzili żywność - co nie było rzeczą łatwą. Ja miałem wówczas 12 lat. 7 km od naszego kwartału był kolchoz, do którego chodziłem na wykopki ziemniaków. Za swoją całodzienną pracę otrzymywałem tyle ziemniaków ile zdołałem unieść. Chodziłem też do lasu zbierać gałęzie i zarabiałem 50 kopiejek za dzień. W ten sposób gromadziliśmy żywność i pieniądze na drogę. Z ziemniaków ciocia przygotowała cały worek placków ziemniaczanych, które okazały się wielkim dobrodziejstwem na przetrwanie. Zaopatrzyliśmy się także w suszone jagody i grzyby.

W drogę wyruszyliśmy 15 grudnia 1941 r. Najpierw na piechotę 120 km do stacji kolejowej Muraszi, wszyscy objuczeni bagażem. Święta Bożego Narodzenia przypadły nam w drodze. Przed nowym rokiem dotarliśmy do Muraszi. Wykupiliśmy bilety kolejowe do Taszkientu, to jest ponad 2 tysiące kilometrów. Pociąg dla nas złożony był z wagonów towarowych, wyposażonych w prycze z desek. Załadowaliśmy się i pociąg ruszył. Ponieważ był to okres działań wojennych to na szlaku

kolejowym pierwszeństwo miało wojsko oraz transporty związane z wojną. Zdarzało się, że nasz pociąg odstawiany był na boczny tor i musieliśmy czekać całymi dniami na zielone światło. Na postojach dochodziło do wielu dramatów, gdy ktoś z członków rodziny wybierał się poszukać żywności, a pociąg niespodziewanie odjechał. Podróż trwała 3 miesiące. Pod koniec marca dotarliśmy do Buchar w Uzbekistanie. Wielu nie przeżyło tej podróży, a wszyscy wyszli z pociągu zawszeni. Przez pewien czas koczowaliśmy nad rzeką. Kobiety prały odzież, mężczyźni z dziećmi siedzieli w wodzie, aby się pozbyć tych „wszawych lokatorów”. Ludzie zaczęli powoli dochodzić do siebie. Tu część mężczyzn zdolnych do służby wojskowej poszła do punktów werbunkowych, a pozostałe rodziny udały się do pobliskich kolchozów. Zorganizowano nam dalszą podróż do kolchozu „Woroszyłow”, do którego dostaliśmy skierowanie. Drogę odbyliśmy karawaną złożoną z wielbłądów i osłów. Kolchoz „Woroszyłow” był oddalony o 50 km od Dekanabału, z którego ruszyła karawana. Zakwaterowano nas w lepiankach, nie było to jednak problemem, bo klimat był tu tak łagodny, że można było mieszkać nawet pod gołym niebem. Kolchoz nastawiony był na uprawę bawełny oraz hodowlę owiec i baranów. Na stepach pasły się wielbłądy i osły, które służyły jako transport. Ludzie szukali pracy, aby zarobić na dalszą drogę, ale było to bardzo trudne do zrealizowania. Ja miałem za zadanie zbierać chrust na opał. Nie było lasów, a tylko stepy z

ubogą kosodrzewiną. Pewnego razu poprosiłem przewodniczącego kolchozu, żeby pozwolił mi wziąć osiołka. Mógłbym wtedy pojechać dalej, gdyż w pobliżu było wszystko wybierane. Pozwolił mi wybrać jednego. Tak też zrobiłem. Zobaczyłem, że jeden jest już ubrany w uzdę i lejce, więc sobie tego wybrałem. Nazbierałem chrustu i wróciłem. Z daleka usłyszałem jakieś krzyki. Kiedy podjechałem zobaczyłem, że jakiś Uzbek biegnie w moją stronę z nożem w ręku i krzyczy, że zabrałem mu osła, że mnie zabije. Oczywiście zostawiłem tego osła i uciekłem w step. Uzbek gonił mnie, ale w końcu zrezygnował, zabrał osła i pojechał. Wróciłem do kolchozu i dowiedziałem się, że ten osioł, którego zabrałem, był przygotowany do drogi przez tego Uzbeka. Gdyby mnie wtedy złapał, być może moje życie byłoby zagrożone. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Obok naszego kolchozu był miejscowy sofchoz. Prowadził on hodowlę krów. Ciocia poszła do nich w poszukiwaniu mleka dla dzieci i siebie. Po chorobie chciała się wzmocnić. Wyprawa okazała się bardzo korzystna, bo kierownik nie umiał uruchomić maszyny do wirowania mleka. Ciocia obejrzała maszynę i uruchomiła, gdyż taką samą miała w gospodarstwie. Nauczyła ich obsługi i w zamian mieliśmy mleko, a więc już było dobrze. W drugim miesiącu pobytu tutaj przyszła wiadomość, że w Dekanabacie jest punkt werbunkowy do armii Andersa i przyjmują młodych chłopców. Razem z kolegą starszym o dwa lata postanowiliśmy tam zgłosić

się, oczywiście za zgodą cioci i wujka. Przed drogą wujek spisał na kartce testament, w którym przekazał mi gospodarkę na Wołyniu. Powiedział: „Może tobie uda się wrócić, to zajmiesz się gospodarką” - wtedy nikt nie znał nowych granic Polski i nie wiedział, że ten teren nie będzie do niej należał. Ciocia testament i parę rubli zaszła mi pod podszewkę w kurtce. Spakowali mi trochę żywności do torby, udzielili ostatnich przestróg, błogosławieństwa i uronili łzy na pożegnanie. Dwóch młodych chłopców ruszyło stepem na piechotę. Przed nami było 50 kilometrów drogi i jeszcze dłuższa nadzieja na lepszą przyszłość.

Wyszliśmy wczesnym rankiem, na wieczór dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Tu zastaliśmy tylko jednego człowieka, który powiedział nam: „Chłopcy spóźniliście się... Transport już wyjechał do Guzar, tam jest punkt centralny ...”. Po namyśle dodał: „Muszę wam jakoś pomóc - rano pojedzie jeszcze jedna ciężarówka z resztą zaplecza, to was wsadzę do niej i jeszcze zdążycie dołączyć do transportu”. Mnie jednak spytał ile mam lat bo wyglądałem na małego. Wtedy postanowiłem „być starszym” i zmyśliłem nową datę mojego urodzenia 03 04 1928 r. Od tej chwili data ta towarzyszyła mi w życiu i pomogła wydostać się z sowieckiego piekła. Stałem się starszy o ponad rok. Rano ciężarówką dotarliśmy do głównego transportu. Wszyscy byli już wyposażeni i zaprowiantowani. Nas dwóch komendant dopisał do swojej listy, dostałem płaszcz wojskowy i czapkę oraz rację

żywnościową tzn. konserwę i chleb oraz przydział miejsca do wagonu kolejowego. Płaszcz był męski, a więc trzynastoletni niedożywiony chłopak zginął w nim, widać było tylko czubki butów, a spod czapki wystraszone oczy. Tak zaczęła się moja przygoda z mundurem. Naprawdę byłem szczęśliwy, że dostałem czapkę z polskim orzełkiem i prawdziwy wojskowy płaszcz. Pociągiem dojechaliśmy do Krasnowodzka, tam czekał na nas okręt. Na drogę dostaliśmy słone śledzie, po zjedzeniu których poznałem co to choroba morską. Tak zapamiętałem moje pierwsze spotkanie z morzem. Wreszcie dopłynęliśmy do Pachlewi i choroba morską skończyła. Tutaj przeszliśmy odpowiednią kwarantannę i parówkę. Wykąpano nas i spalono nasze stare ubrania. Tyle miałem wrażeń, że zapomniałem o tym, że ciocia zaszła w kurtce testament i ruble - wszystko spłonęło na stosie. Tam zostaliśmy umundurowani na wzór armii zachodu, a następnie przewieziono nas ciężarówkami wojskowymi na lotnisko w Teheranie. Na dwa tygodnie zostaliśmy zakwaterowani w hangarach lotniczych. Przez ten czas nasz transport został rozdzielony do różnych oddziałów. Kolejnym celem naszej podróży był Irak. Pamiętam, że po drodze rozbiliśmy obóz nad jeziorem Habanija, gdzie nauczyłem się pływać. Następnym miejscem pobytu była Palestyna, w której zatrzymaliśmy się ponad 2 miesiące. Podzielono nas na 4 kompanie, każda po 120 chłopców. Tu zorganizowano kursy przygotowawcze do szkoły. Po kursie były komisje, które

kwalifikowały nas do różnych szkół. Mnie zakwalifikowano do szkoły zawodowej, myślę, że to i tak bardzo dobrze, na to ile miałem szansę się uczyć, z czwartej klasy na Wołyniu zostałem wywieziony, a w obozie w szkole sowieckiej niewiele się nauczyłem. Teraz miałem się uczyć w I Zawodowej Szkole Junackiej Mechanicznej. Przedstawiono nam jakich zawodów można się wyuczyć. Ja wybrałem sobie kierunek rusznikarz płatnerz - spodobało mi się, że będę miał do czynienia z bronią. Niestety nie było przy mnie „bliskiej duszy”, która wytłumaczyłaby mi, że to zawód bez przyszłości.

### **Służba wojskowa w armii gen. Andersa**

Po ukończeniu Szkoły Junackiej służbę wojskową rozpocząłem w Casa-



*Eugeniusz po przysiędze w Armii  
Andersa – Casasio III Korpus*

sino w III Korpusie gen. Wiatra w październiku 1944 r., miałem wówczas 16 lat. Od października do 24 marca 1945 r. trwał okres rekrucji - codzienne ćwiczenia wojskowe. 24 marca złożyłem przysięgę wojskową i stałem się prawdziwym żołnierzem Wojska Polskiego Armii Zachodu. Dostałem przydział do kompanii warsztatowej nr 339 warsztat naprawczy - jako rusznikarz. Było nas trzech młodych rusznikarzy i starszy sierżant jako nasz zwierzchnik. Praca polegała na przeglądzie, konserwacji, ewentualnie na naprawie broni palnej osobistej, a więc pistoletów i karabinów.

W celu podniesienia kwalifikacji wysłano mnie dodatkowo na kurs do bazy wojsk angielskich w Qussassin. Tu miałem duże trudności z językiem technicznym angielskim - z trudem pokonałem tę przeszkodę. Poznałem starszego kolegę Anglika, z którym zaprzyjaźniłem się. Baza kursu była pod Kairem, tak że często bywaliśmy w Kairze, dosyć dobrze poznałem to miasto i jego zabytki. Znajomość z kolegą trwała aż do wyjazdu do Polski. Po jakimś czasie zorientowałem się, że mój zawód rusznikarz nie ma przyszłości, a szczególnie w cywilu. W warsztacie, w którym pracowałem były piękne maszyny obrabiarki, tokarnie, frezarki obserwowałem jak koledzy na nich pracują, podobała mi się ich praca. Zgłosiłem się do szefa aby pozwolił mi uczyć się na tych maszynach. Zgodził się i pod okiem mistrza zacząłem praktykować jako tokarz. W ten sposób zdobyłem nowy zawód tokarz w meta-

lu. Do końca służby wojskowej pracowałem na obrabiarkach.

II wojna światowa dawno się już skończyła. Pewnego razu przyjechał przedstawiciel rządu PRL, z agitacją aby wracać do kraju. Zaznaczył jednak, że trzeba się wyzbyć politykowania i zaakceptować rząd PRL i pracować dla Polski. Większość bała się jednak wracać do kraju bo chodziły wiadomości o prześladowaniach żołnierzy armii zachodu, a nawet o aresztowaniach. W tym czasie dostałem list od cici z Indii, donosiła mi, że Hindusi żądają aby Polacy opuścili ich terytorium.



*Eugeniusz z kolegą Anglikiem na przepustce.  
Aleksandria*

Większość Polaków wybrała się do krajów zachodnich, ale trzeba było mieć pieniądze. Ja miałem trochę pieniędzy i jeszcze zwróciłem się do dowódcy o pożyczkę i wysłałem cici trochę dolarów. Po dłuższym jednak czasie dostałem list, że nie udało im się zabrać do Ameryki, i że wracają do Polski.

W dalszym ciągu byłem w wojsku ale już w armii brytyjskiej, z którą związani Polacy przygotowywali się do opuszczenia Egiptu. W październiku 1947 r. III Korpus, w którym służyłem przeniósł się do Wielkiej Brytanii. Pozostali tylko Żydzi. Okazało się, że

w polskiej armii było ich bardzo dużo. Zaczęli mówić głośno o tym, że powstanie państwo Izrael. Podróż do Anglii odbywała się statkami. Wyruszyliśmy z Port Saidu Morzem Śródziemnym popłynęliśmy do Malty i dalej w kierunku Londynu. W owym czasie podróż statkiem należała do niebezpiecznych gdyż w wodzie było dużo min. Płynęliśmy więc powoli i po dwóch tygodniach dotarliśmy do Southampton w Wielkiej Brytanii. Po odprawie dalsza podróż samochodami do bazy wojskowej pod Londynem. Powstało biuro pośrednictwa pracy dla

żołnierzy. Oferowano różne prace na wyspie oraz w koloniach brytyjskich. Cudzoziemcom jednak trudno było dostać dobrą pracę gdyż pierwszeństwo mieli Anglicy. Było tu właściwie bezrobocie i trudne warunki do życia, większość artykułów była jednak na kartki. Napisałem do kolegi Anglika, którego poznałem na kursie, że jestem w Anglii. Przyjechał i zaproponował mi pracę u siebie. Pojechałem do niego do Oakham małego miasteczka w pobliżu Nothingam. Prowadził on tu sklep warzywno-spożywczy wraz z żoną. Posiadał też trzy samochody dostawcze,



jeździł do rolników skupował warzywa i od razu rozwodził czyli prowadził obwoźny handel. Przez dwa miesiące pomagałem mu w tej pracy. Jednak nie odpowiadało mi takie zajęcie, podziękowałem i wróciłem do swojego korpusu. Tu zastałem list od ciotki, która już była w Polsce i postanowiłem wracać do kraju. Po rozliczeniu się z wojskiem i załatwieniu wszystkich formalności wyjechałem do Glasgow w Szkocji. Po kilku dniach oczekiwania podstawiono okręt do Gdyni.

Do Polski przypląłem 15 lutego 1948 r. Po odprawie celnej wsiadłem w pociąg do Tarnowa, tu przesiadka do Żabna. Nikt mnie nie oczekiwał bo nikt nie wiedział, że przyjadę, sam podjąłem taką decyzję. Na stacji w Żabnie dogadałem się z młodym człowiekiem, który okazał się mieszkańcem Biskupic, do których i ja zmierzałem i pomógł mi w niesieniu bagaży. Gdy dochodziliśmy do Biskupic nagle spod mostu wypadło dwóch uzbrojonych mężczyzn z okrzykiem ręce do góry. Zostałem obszukany i zabrano mi wszystko. Jeden z nich powiedział „kulka w łeb i do wody”. Wtedy dopiero wtrącił się chłopak, który szedł ze mną i powiedział im, że jestem synem sołtysa i wracam z armii Andersa. Po namyśle puścili mnie z zastrzeżeniem żebym nikomu nie mówił bo w przeciwnym razie znajdą mnie i rozliczą się. I tak oto po 11 latach tułaczki po dalekim świecie mogłem zginąć z rąk swoich bratanków. Ten incydent mam zawsze przed oczyma gdy przechodzę przez most na Dunajcu w Biskupicach.

W domu wszyscy byli zaskoczeni moim powrotem. Nikt się nie spodziewał, że wrócę do domu. Wszyscy woleliby żebym pozostał za granicą i przysyłał paczki. W domu zastałem trzy małe siostry, gdyż ojciec powtórnie się ożenił. Marysię ciotka przywiozła i zostawiła w Biskupicach a sama znalazła pracę w Brzesku Okocimiu. W domu więc było 6 siostr i brat. Dwaj starsi bracia byli we Wrocławiu. Po kilku dniach pobytu w domu doszedłem do wniosku, że nie mam tu żadnej przyszłości i postanowiłem jechać do braci. Tak też się stało. Obaj bracia pracowali, a Franek był już żonaty i spodziewali się dziecka. Przyjęli mnie do siebie. Mieli mieszkanie złożone z pokoju i kuchni. Znalazłem tu pracę w Fabryce Sztucznego Jedwabiu w charakterze tokarza, wszystko się dobrze ułożyło i byłem zadowolony. Miałem dużo czasu i wraz z kolegą zapisaliśmy się do szkoły wieczorowej aby się jeszcze uczyć. Na przeszkodzie stanęła praca na dwie zmiany. Zwróciłem się do kierownika z prośbą o pracę na pierwszej zmianie - jednak nie zgodził się, natomiast zaproponował mi wstąpienie do partii, to wtedy będę miał duże szansę na studiowanie. Propozycji nie przyjąłem, ale też pracy na I zmianie nie uzyskałem. Uniosłem się ambicją i postanowiłem zrezygnować z tej pracy. Nową pracę znalazłem w Brzegu. Musiałem dojeżdżać pociągiem i też nie było szansy na podjęcie nauki. W owym czasie Franek z rodziną opuścił Wrocław i wrócił do Tarnowa. Zostaliśmy obaj z Józkiem, sprowadziliśmy ciotkę ale jednak nie spodobał się jej Wrocław

i odjechała. Później powiadomiła mnie, że dostała pracę w Krakowie i tu wprowadziła Marysię, która za nią bardzo tęskniła i nie chciała być w Biskupicach. Ja też marzyłem o tym aby przeprowadzić się do Krakowa. Nadarzyła się okazja gdyż poszukiwano ludzi do pracy przy budowie Nowej Huty. Korzystając z okazji trafiłem do PPRK-3 i dostałem hotel robotniczy. Tu już z cicią czyniliśmy wszelkie starania aby zdobyć mieszkanie, być razem i zabrać ze sobą Marysię z internatu. Dosyć długo to trwało, ale wreszcie zdobyliśmy mieszkanie na ul. Starowiślnej. Co prawda był to tylko jeden pokój z używalnością kuchni, ale byliśmy bardzo szczęśliwi. Przedsiębiorstwo, w którym pracowałem przekształciło się w nową firmę o nazwie Krakowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Wodno-Inżynieryjnego. To przedsiębiorstwo bardzo szybko się rozbudowało, duży front pracy i duże możliwości zawodowe i socjalne. To był rok 1950 praca dawała mi dużo zadowolenia, bo okazało się, że dobrze opanowałem zawód tokarza i mogę powiedzieć, że byłem jednym z lepszych fachowców. Nie szczędziłem też sił i wyciągałem bardzo wysoką normę, potrafiłem też udoskonalić swoje narzędzia pracy. Dawało to efekty. Dostrzegło to kierownictwo i byłem często nagradzany. Po jakimś czasie, dzięki mojej przyszłej żonie Zosi zorientowałem się, że jestem obserwowany. Podczas przesłuchania w komórce SB zagrożono jej, że zostanie wyrzucona z pracy, jeśli nadal będzie utrzymywała

kontakty z wrogiem Polski Ludowej. Chcąc mieć spokój przestałem utrzymywać kontakty z kolegami z zagranicy i zupełnie zaniechałem korespondencji. W pracy nagabywano mnie abym wstąpił do partii, ale nie dałem się namówić. W styczniu 1953 r. wzięliśmy ślub, dostałem z firmy mieszkanie co prawda w baraku, ale miałem obiecane mieszkanie w bloku, który budował mój zakład. Tak też się stało, dostaliśmy po dwóch latach mieszkanie w bloku na ul. Wybickiego. Mieliśmy już wtedy dwóch dorodnych synów. Ciocia mieszkała wówczas tylko z siostrą, ale stale spotykaliśmy się razem jak kochająca rodzina. W pracy szło mi bardzo dobrze, składałem dużo wniosków racjonalizatorskich i udoskonaleń, tak, że dostawałem dużo nagród a nawet odznaczeń. Zdałem egzamin mistrzowski i awansowałem na majstra, a następnie prowadziłem rozdzielanie pracy na obrabiarkach. Za swoją pracę zostałem odznaczony kolejno brązowym, srebrnym i złotym Krzyżem Zasługi, a na koniec otrzymałem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Do końca pracowałem w tym jedynym zakładzie. Na wcześniejszą emeryturę przeszedłem w 1989 r. po zaliczeniu 43 lat pracy.

Siostra Marysia wyszła za mąż. Wyprowadziła się od cici, tak że na starość ciocia sama została w mieszkaniu. Oboje z Marysią chodziliśmy do niej i pomagaliśmy. Zmarła w Krakowie w 1986 r. i jest pochowana na Batowicach. Tak skończyła się historia naszej przybranej matki.